



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

KATARZYNA JAGIELLONKA

KRÓLOWA SZWEDZKA.

Opowieść historyczna

skreślił

Maryan Dubiecki.

I.

Stare komnaty zamku na Wawelu od chwili zgonu Barbary, żony Zygmunta Augusta, coraz częściej, i coraz dłużej bywały niezamieszkałe. Stały wprawdzie w przepychu dawnym, świeciły krasą, bogactwem, co się tam od dwu wieków gromadziły, a za dni króla „Starego“ doszły do szczytu upiększeń, ale już rzadko były zwykłą króla siedzibą. „Młody“ król odbiegał często, i nadługo, starych murów, szukając innego, skromniejszego zacisza, by zapomnieć o bólu, który z nim siedł przez życie całe i stanowił opokę, o którą roztrzaskała się łódź jego duchowego istnienia... Obszerne ogrody, otaczające zameczek knyszyński, lub, niekiedy, ówczesna, mała i ubożuchna Warszawa, przedewszystkiem zaś Wilno, pełne dlań wspomnień, świadek pierwszych chwil domowego szczęścia z Barbarą, Wilno, posiadające jej prochy, nęciły go najwięcej — tam najczęściej, najdłużej przebywał ostatni Jagiellończyk. Mieniono Zygmunta Augusta „młodym“ królem; a on duchem wcześniej starzał, wcześniej bladeść osiadła na jego twarzy, siwizną skroń mu bieleć zaczęła, szata zaś czarna prawie nigdy na inną, weselszą barwę zamienianą nie

była. Podobnie jak szata była wciąż żalobną, tak i dwór wiał smutkiem i pustkowiem. Król zgromadził około siebie siostry tulące się doń, więcej mu ufające niż matce, ale i ich niewieście, młode oblicza nie rozpraszały pewnej powagi, niby klasztornej, dworu królewskiego. Wszystkie trzy siostry — wówczas jeszcze niezamężne — Anna, Zofia i Katarzyna — zwykle, w początkach szczególnie rządów brata, bawily tam gdzie bawił brat. Matka przed swym wyjazdem do Włoch, przed zupełnym kraju opuszczeniem, niekiedy pomnażała swą obecnością grono rodzinne, ale i wtedy nie był tu jeden dom, jedna rodzina. Zygmunt August miał bardzo poważne przyczyny, by oziębic z matką stosunek, którego i matka utrzymać na stopie serdeczniejszej ani chciała, ani umiała. Gdy przemieszkiwali wszyscy czas jakiś w Wilnie, pod jednym dachem, wśród otoczenia tychżesamych murów, dwór rozpadał się na dwa lub na trzy dwory. Król miał najczęściej zupełnie oddzielne izby i w nich gromadził się dwór oddzielny; przebywali tam, coraz-to częściej, ludzie pragnący korzystać ze słabostek „pana“ i torujący drogę do owych błędnych ścieżek, któremi z czasem można było pana tego prowadzić. Z orszaku niewieściego królewien na dworze wileńskim wydzielił król otoczenie matki, pragnął i uczynił tak, by Bona kuchnią posiadała oddzielną⁽¹⁾.

Rzecz drobna napozór wskazówką dla nas poważną mienić się może, jak małą spójnią rodziny była Bona po zgonie Zygmunta Starego. Wyjazd jej jednak wyciskał łzy z oczu córek. Zofia, najstarsza z Jagiellonek, już wówczas zamężna, opuściła kraj była nazawsze. Anna i Katarzyna, chociaż obojętnością darzone od matki, „gorzkie-

mi łzami“ oblały chwilę rozstania się z nią. Przeczuwały, iż jej nigdy nie ujrzą, iż dla nich zaczyna się nowy okres życia, może również smutny, a może i cięższy od dni przebytych. Przyzwyczajone do obojętności swej rodzicielki, w głębi uczuć żywić mogły nadzieję, że obecna, prędzej lub później, czulszą się stanie; gdy tymczasem jej odjazd był niejako pogrzebem usuwającym przed ich oczu nazawsze oblicze matki, — z jej oddaleniem się gasły słabe iskiereki nadziei, by w samolubnym sercu tej kobiety roztląła kiedy owa miłość macierzyńska, której córki oddawna a napróżno wyglądały.

Współczesne pióro zostawiło nam charakterystyczną wzmiankę o rozstawaniu się Bony z córkami. „Pożegnała dwie panienki, gorzkimi się łzami oblewające — czytamy w owym świadectwie — nie dawszy im, tylko po jednym pierścieniu, lzy nie wypuściwszy sama stara z oczu“... Łzy owe „gorzkie“ oschnąć już nigdy nie zdołały, przynajmniej na czas dłuższy... Wciąż bowiem o te wątłe organizmy były szarugi kłesk licznych, zmartwień trudnych do przeboleń; brzemień życia długo i wytrwale gniołło ich barki, napozór stworzone jeno do dźwigania purpury.

Starsza z dwu królewien, pozostałych po wyjeździe matki, Anna, miała chociaż pociechę, iż sklepienie rodzinnego nieba nad jej głową istniało; Katarzynie i owej pociechy los odmówił. Wśród obcych upływało życie, pełne prób wielkich, rzadka jeno, i to ku schyłkowi dni, pociechami małemi, w kole rodzinnem, przeplatane.

Jagiellonki późno wychodziły zamąż. Brakło im zawsze troskliwości macierzyńskiej, która by ową chwilę zbliżyć, stosownie okolicznościami pokierować zdołała, któraby losami córek sterować chciała, a przygotowywała dla nich przyszłość świetniejszą. Możliwości ich zamążpójścia późno nadchodziły i świetnością nie odznaczały się. Po wyjściu zamąż Zofii, po wyjeździe matki do Włoch, Anna młodszą siostrą, Katarzyną, opie-

(1) „... Niecheemy — pisał Zygm. Aug. w liście do Radziwiłła — aby pospołu z królową jejm. mieszkać miały (królowy), ale aby różno mieszkały i różno kuchnią miały“...

kowała się, a chociaż brat pragnął, by przy nasuwających się projektach zamążpójścia Anna miała pierwszeństwo, wszakże ona z tych praw pierwszeństwa korzystać nie chciała.

Zapewniający nieco od innych projektów uważano myśl szwedzkiego królewica, Jana, brata króla Eryka. Przy urzeczywistnieniu myśli tej ukazywała się w dalszej perspektywie — szwedzka korona.

Nie widziano... bo i kóżby przypuszczał? ile stopni niedoli potrzeba będzie przejść na gościńcu do szwedzkiego tronu wiodącym, z ilu-to kłesk, bólów serdecznych uwije los pomost łączący ze spokojniejszym jutrem... Nie przypuszczano, jak wiele znieść zniewoloną będzie nasza Jagiellonka, nim sięgnie po ową koronę, nim światło spokoju na horyzoncie jej istnienia zaświta.

Udziałem Katarzyny miało być zaślubienie Jana, królewica szwedzkiego.

Projekt ten, z ziarna przypadku urosły, trwał rok, czy też i więcej, zanim się urzeczywistnił. W braku innych projektów trzymano się go oburącz; zdawał się przytem pomyslnym dla przyszłości każdej królowej. Dobre wróżby otaczały dnie przedgodowe i same gody. Rzecz mitrżona długo, wreszcie w dniach wrześniowych 1562 r. dojrzała niespodzianie i do urzeczywistnienia szła krokiem przyspieszonym.

Młodość królowej Katarzyny od zgonu ojca, jakżeśmy wyżej wskazali, upływała z biegiem lat coraz smutniej. Równie wola brata, jak przypadek wielorakie okoliczności wpływały na tułanie się obu królowej, Anny i Katarzyny, po różnych zamczkach Polski. Letnie miesiące 1559 r. szczególnie niepomyślnymi były dla naszych Jagiellonek. Morowe powietrze, szerzące się w całej Rzplitej, przysparzało im trudności i miało niemi wśród niebezpieczeństw po całym kraju. Same o tem piszą w jednym ze swych listów do szwagra, Księcia Bruńwickiego, męża królowej Zofii. „...My z przyczyny morowego powietrza po całej prawie szerzącego się Polsce — czytamy w jednym z tych poufnych zwierzeń — wśród tylu niebezpieczeństw miotane jesteśmy, przenosząc się ciągle z miejsca na miejsce obyczajem Numidów“... (2). Do trosk płynących z ogólnych niebezpieczeństw dołączała się i boleść wielką: królowej straciły wówczas właśnie siostrę Izabellę, królową węgierską, którą one — „pozbawione prawdziwej matki, — jak się wyrażają, — uważały i czyły razem za matkę i siostrę.“ Zgon Izabelli jeszcze bardziej osierocił i osamotnił obie Jagiellonki; podwójny ich smutek przeświecał otąd długo, bardzo długo w listach do siostry Zofii, do jej męża i bliższych ich sercu. Izabella ze zgryzot, które ironicznie „węgierskimi rozkoszami“ nazywa, gasła powoli i ku przedwczesnemu końcowi szybko się zbliżała... „Już-to drugie lecie minęły, — pisze na rok przed zgonem — jako nas bez przestanku głowa nie przestanie boleć“... Te „rozkoszki węgierskie“, kopiając przedwczesny grób dla Izabelli, napawały gorczą obie jej siostry. A gdy wreszcie nadeszła wieść, iż ta siostra „matkę zastępująca“ zstąpiła do grobu, „żał tylko i płacz zostawując po sobie“, Katarzyna i Anna czerpią rezygnacją w modlitwie, umartwieniach ciała i innych praktykach religijnych. Posty tak ściśle przez nie były zachowywane, iż sprowadzały chorobę jakąś ciężką obu królowej. Wiadomość o chorobie „z postu“, a zapewne i ze zmartwień ciężkich, stale je nawiedzających, dochodzi do Zygmunta Aug., który z żalnością o tem pisze do Mik. Radziwiłła (3).

Miłość rodzinna ściślemi węzły wszystkie te siostry łączyła; cierpienie jednej w sercu każdej odbijało się boleśnym wrazeniem. Boleją wciąż, iż nie są z sobą, i w późnej nawet lat swych dobie nie znoszą obojętnie rozłąki, oddalenia. „Wiemy to dobrze — pisze Izabella, na cztery miesiące przed zgonem do Zofii księżny brunswickiej — co jest smutek serdeczny: albowiem od tego czasu

jakośmy się rozstawały, i z matką naszą, i też same między sobą siostry, z tegoż smętku warszawskiego do tych czasów nie mogę się wzmódz z chorobą“... Śmierć Bony przyprowadza o chorobę Zofię; tęsknią do siebie wzajemnie wszystkie cztery siostry, a pisemna wymiana myśli jedyną im się staje pociechą. Biegają przeto listy z Polski do Węgier, do Brunzwicku i naodwrot, lecz korespondencya ich nie zadawalnia. Pragną osobistego widywania się, ale warunki ich bytu królewskiego czynią to zbyt trudnym, a oddalenie i niełatwe ówczesne środki komunikacyjne prawie niepodobnym. Wyrwa to im z piersi niejedno westchnienie. „Pan Bóg — mówi Izabella, królowa węgierska — nie dał tego nam, stanom przełożonym, co dał niższym stanom, iż kiedy zechcą mogą być u siebie na obiad, a my tylko przez listy, i te dosyć nierychło do nas dochodzą“... Przekowania, głęboko wkorzenione, o konieczności zachowywania węzłów rodzinnych, a przytem uczucie miłości rodzinnej, wysoce rozwinięte, zniewalały nasze królowej do utrzymywania tych stosunków, tam nawet, gdzie same okoliczności nie sprzyjały.

(Dalszy ciąg nastąpi).

WYSTAWA PRACY KOBIECEJ w Muzeum Przemysłowo-Rolniczym.

(Dalszy ciąg).

Dział pedagogiczny na wystawie musi być z natury rzeczy ograniczonym, bo jak to przedstawić w okazach pracą wychowawczą i nauczycielską? Podobnie i jej wyniki uplastyczyć się nie dają, chyba w rysunkach, w pisaniu, w wypracowaniu uczniów, które trzeba brać za miarę owoców pracy wychowawczej i nauczycielskiej, wykazanych przez rozwinięcie umysłowe uczniów, przez dany stopień ich wiedzy i zdolność wyrażania się językiem poprawnym. Byłoby to coś jak popisy szkolne, tylko w warunkach mniej przychylnych dla wydawania o nich sądu sprawiedliwego. Jedynie metody, których się przy nauczaniu trzymano, mogą tu pod sąd się poddawać, i tak się też stało. Wystąpiło przeważnie nauczanie początkowe, mogące się w pracy swojej ujawnić przez naukę o rzeczach, inaczej metodę poglądową, pozwalającą sądzić o sposobach postępowania z pomocą przedmiotów, którymi się przy nauce o rzeczach posługiwano. Tu znajdujemy wystawczyń kilkanaście, przeciwieństw najpierwej uderzająco dwa okazy: mapa poglądowa Europy p. Jadwigi Wojcieckiej i model wsi polskiej z chatami krytymi słomą, z kościołkiem, z drewnianym dworem pańskim, z figurą, czyli krzyżem u rozstaju — razem rzecz tak miłą dla oka, że wszyscy zwiedzający wystawę: dzieci i starsi, wszedłszy do pawilonu pedagogicznego, najpierw się tu zatrzymując, oglądali z zajęciem widocznym, a nie jest to małą rzeczą, gdy okazy tego rodzaju podobne wrażenie wywierają. W nauce o rzeczach takie zainteresowanie wzniecać, to znaczy umysł dziecka ciekawie zająć, więc rozbudzić go i w ruch żywy wprawić. Wystawczynią jest p. Julja Unslicht, mające „zakład pożytecznych zajęć dla dzieci“ i sądząc z tego okazu, trzeba przypuścić, że wystawczyni pożytecznie na tem polu pracować może; życzyć też sobie należy, aby jej zabawki wypychały szczęśliwie wchodowe — przybywające nam z Niemiec, jeżeli zawsze przewodniczyć w nich będzie taka dobra myśl pedagogiczna — taka uczciwa myśl swojska. Okaz ten przekonywa: jak metoda poglądowa pod kierunkiem dobrej nauczycielki może wielostronnie na umysł dzieci działać, obok wyobrażeń rozbudzać i inne strony istoty młodej: uczucia i myśli.

Znajduje się jednak jedna wada w tym okazy pociągającym, a to, że dwór nie jest w naszym rodzimym stylu dworów drewnianych, że jest to

coś jakgdyby niemiecko-szwajcarskiego, czy fantazyjnego, ale nie nasz dwór tradycyjny. Nagradza to chata, której dach bez pomocy Twardowskiego zdjąć można i wnętrze jej z całym urządzeniem oglądać, a tu nauczycielka ma dany sobie przedmiot do lekcji bardzo pożytecznej, która oznajmiając dziecko z użytkami praktycznymi sprzętów, jakie tu się znajdują, da mu zarazem lekcją o życiu ludu wiejskiego, lekcją obyczajów naszych. Razem jest to okaz, który nie darmo tak się ludziom podobał — jak się podobał wielce i mnie, przyznając.

Mapa poglądowa pani Jadwigi Wojcieckiej, rzecz to niesłychanie pracowita, lecz, na nieszczęście, niepraktyczna, więc jako taka chybiona. Jest tak ogromna, że nie mówiąc już o domach prywatnych, rzadko w której szkole elementarnej pomieścić się może, a pomieszczona jeszcze zamierzona usługi dziecku nie oddaje, bo wzrok zbliżka tylko mógłby tu coś dostrzedz; wśród ciżby rozmaitych figurek coś wyróżnić, a i wtedy jeszcze uwaga błakałaby się i gubiła, jak w lesie, wśród mnóstwa szczegółów, którymi mapa jest przepełniona — z konieczności, skora autorka chciała dać obraz Europy przedstawiony metodą poglądową. Metoda poglądowa, czyli nauka o rzeczach, może oddać wychowaniu usługi znaczne, ale wtedy tylko, gdy się ogranicza do nauki dzieci zupełnie małych i gdy jest właściwie wstępem do nauki — pierwszym jakoby rozglądaniem się dziecka wśród otaczającego je świata. Władze umysłu są jeszcze nierozbudzone i trzeba działać przez zmysł wzroku, słuchu, dotykania, aby wprowadzić w ten umysł młodziuchny i jeszcze drzemający jak niemowlę w kolebce, pewne wyobrażenia i przez to wydobyć z niego uwagę na to, wśród czego istniejemy. Daje to dziecku pewną sumę wiadomości o świecie i życiu, które są pierwszym krokiem w kierunku nauki; ale aby metoda poglądowa, czyli nauka o rzeczach, nie stała się zmateryalizowaniem nauki właściwej, ani na krok dalej nie może się ona w nauczanie posunąć, bo właściwie nauką nie jest, a tylko do nauki przygotowaniem, wyrobieniem do niej narzędzi w umyśle złożonych. Ktoby chciał uczyć dziecko dalej, niż należy, przez wzrok i słuch, uczyniłby z jego umysłu coś, jak zleniwiałego wielkiego pana, któremu wszystko gotowe do rąk przyniosą, a on ogranicza się tylko do roli przyjmowania i już nie umie potem stanąć do tej pracy, która sama sobie wartości zdobywa i owocem własnego trudu do ich posiadania przychodzi.

Można geografii wioski metodą poglądową uczyć, ale nigdy Europy. Tu już sama natura rzeczy musi stawać na przeszkodzie i powiem: Bogu dzięki! bo przedłużanie w edukacji metody poglądowej poza jej kres naturalny uważać należy za rzecz wielce szkodliwą. Najszlachetniejsze władze umysłu są w takim razie na zastój skazane i kształci się przeważnie bystrość spostrzegawcza, zmysł życia praktyczny — rzecz wielce cenna, zarówno dla prostaczka, jak dla mędrca potrzebna, ale wychowanie nie powinno tak ograniczonego programu dla umysłowości dziecka przyjmować.

Zadaniem jego jest wszystkie zdolności wychowanka kształcić, wszystkie jego władze rozwijać, czyniąc zeń człowieka, o ile można, wszechstronnie do życia przygotowanego. Według mego przekonania wzorem metody dobrego nauczania elementarnego jest książka Żmichowskiej: „Nauczanie Początkowe“, w którym obok nauki o rzeczach, jest z doskonałym rozumem wprowadzona nauka uczucia i pierwszych nocny szlachetnie pojętego życia a to przez bajeczki, tak dobrane, że nietylko świat fizyczny i fizyczne życia pojęcia przedstawia się w nich dziecku, które przeciwieństw zaczyna już samo chwycić jakieś oddźwięki życia moralnego — które zaczyna już czuć w serduszkach młodym, że się na świecie coś kocha, że się w coś wierzy, że się za czemś ręce z serdeczną tęsknotą wyciąga.

Tylko tak pojęta nauka o rzeczach w programat wychowawczy bez szkody dla moralnych, idealnych stron życia wprowadzoną być może i nigdzieindziej osobistość nauczycielki — bo ta przeważnie powinna mieć sobie oddane dziecko małe — więcej nie znaczy. Jest to jakoby przedłużony

(2) Korespondencya Jagiellonek, list z d. 18 Października 1559 r., z Przemyśla, w dziele *Jagiellonki Polskie*, T. III, str. 27.

(3) List Zyg. Augusta (d. 14 Stycznia 1562) u Lachowicza.

wpływ macierzyńskiego wychowania i dział to pracy bezspornie już przyznany kobiecie; lecz żądać należy od nauczycielki, aby się do ważności zadania swego poczuwała, bo nauka o rzeczach mechanicznie udzielana musi z konieczności mieć grunt materyalny—musi usposabiać do jednostronnego tylko przyjmowania wrażeń i wyobrażeń, które materyalnemi będą.

Najdoskonalszym na Wystawie przedstawieniem nauki poglądowej był komplet okazów *M. W.* Zbiór nasion i owadów systematyczny i według wymagań nauki zebrany, gniazdko ptasie, pnie drzew naszych — całość nauczająca, bardzo estetycznie i wdzięcznie przedstawioną została, co też nie jest rzeczą obojętną w nauczaniu. Umiejętność zainteresowania dziecka, pociągnięcia go do rzeczy, jest wielkim przymiotem pedagogicznym. Nauka, która się w zabawę dla tego celu przedzierzga, kryje w sobie wielkie szkopyły, wielkie niebezpieczeństwa, ale to co innego jest, jeżeli miły wdzięk prostego, naturalnego piękna powabem swym oddziaływa. Nietylko to naukę ułatwia, ale i smak kształci, a to też jest nauka i bardzo dla życia pożądana. Jedną z pierwszych nagród byłaby jednoznacznie przyznana temu zbiorowi, gdyby nie był bezimiennym, co od nagrody usuwało.

Zbiór okazów I. Kucharskiej także do nauki o rzeczach, ułożony według angielskiej metody Moyn'a, zalecał się również systematycznością i stanowi bardzo dobry wzór porządnego, na pewnej rozumnej podstawie opartego systemu prowadzenia nauki o rzeczach. Dziecko tak nauczane nie wyniesie ze szkoły pojedynczych wiadomości o tem i owem, ale da to młodemu umysłowi coś wiedzy, w ład dobry ujętej. Ważniejsza to rzecz, niż się na pierwszy rzut oka zdawać może, zwłaszcza w wychowaniu początkowym. Dziecko uczy się porządku w myślach — nawyka do tego, aby wyobrażenia naukowe tworzyły tam pewne całości, które zsumowane wydadzą potem wiedzę, również porządną. Nauka taka ma i dla względów życia moralnych znaczenie nieposłednie.

Ład, systematyczność nauczania sprzyja nauce wszelkiej i zawsze daje równe pożytki gruntowności, moralnego wpływu na wychowanców. Nauka pracy igłą, której okazy wystawiła w oddziale pedagogicznym hr. Plater, na zasadzie tego wielkiego przymiotu w wychowaniu została pomieszczoną w wydziale pedagogicznym, jako środek edukacyjny, jakim tak prowadzona nauka robót kobiecych jest niewątpliwie przez metodę swoją, bo do pedagogii należy wszystko, co dziecko w jego przymiotach ludzkich kształci i rozwija, dobrze do pracy życia usposabia, jakimkolwiek byłby tu środek działania i do jakichkolwiek zajęć praktycznie-by uzdalniał.

Typy ubiorów ludowych, — które gdyby zostały nadesłane ze wszystkich stron i okolic, stworzyłyby przyczynę bardzo ważną do krajoznawstwa — nie dopisały. Pismo nasze wzywało wystawczyńnię do wytworzenia takiej kolekcji niejednokrotnie; powtórzyło to wezwanie przed wystawą, przecież ze skutkiem bardzo małym. Typy ubiorów z okolic Kowna w trzech postaciach nadesłała do wydziału pedagogicznego p. M. Sawrynowiczowa, jako okazy do nauczania geografii, metodą poglądową, oraz z okolic wołyńskich, ze wsi Mizocza, zacna p. Jadwiga Dunin-Karwicka wystawiła włośniankę w stroju miejscowym. Nakoniec staraniem tamtejszego plebana nadesłano z Międzyrzecza dwie piękne, takiej wielkości lalki, jak ich pragnęło pismo nasze, sądząc optymistycznie, że wystawioną będzie taka już ich liczba, iż to może dać początek zbiorowi, który przechowany w Muzeum Przemysłowem stałby się zawiązkiem etnograficznego muzeum ubiorów ludowych.

Właściwie tylko lalki z Międzyrzecza, przedstawiające *bojara*, to jest gospodarza i *bojarynę*, jego żonę, w ubiorach ludu z parafii międzyrzeczkiej, (powiat radzyński) do takiego przechowania się nadają. Manekiny zrobił miejscowy mieszczanin, Filipowicz — samouczek. Wszystkim, co tu do dzieła tego przyłożyli ręki, co tu dali dobrą wolę swoją — Bóg zapłać.

Książki dla dzieci i młodego wieku nadesłało wystawczyń czternaście. Jakkolwiek utwory li-

terackie nie zdają się z natury rzeczy do takich wystaw należeć, że przecież dziełka te, stosowane do działania edukacyjnego, są utworami więcej z zakresu pedagogii, niżeli piśmiennictwa właściwego, więc na tej zasadzie zostały przyjęte i jako takie sążone. Tu przecież wyższy, lub niższy talent literacki musiał obok myśli pedagogicznej mieć znaczenie swoje i tam tylko mogła powstać rzecz najdoskonalsza, gdzie się te dwa przymioty w jednakowym stopniu jednoczyły. Wystawczyń, która pracą swoją i dziełami swego niepospolitego talentu, nauki i myśli szlachetnie podniosła, już społeczeństwa naszego nigdy obdarzać nie będzie, s. p. Julia Zaleska, wzięła tu nagrodę najwyższą, dyplom uznania. Ostatnia jej książka: *Dwie siostry*, to jak taki jej testamentowy przekaz dla kobiety naszej: — Oświecona, chwilę czasu swego rozumiejąca, miłośnie podająca rękę temu, co duchem, umysłem od ciebie uboższe, pracuj na zagonie twoim rodzinnym i gruntu tego się trzymaj, spełniając na nim twoje obowiązki: a szczęście przyjdzie do ciebie samo i dobre, spokojne istnienie twoje szczęściem podzielanej miłości opromieni.

(Dokończenie nastąpi.)

W WIEŻACH.

PRZEZ

Anatola Krzyżanowskiego.

(Dokończenie.)

— Litości, litości! — zebrał. — Ciotko, pomnij, że niegdyś, drugim synem ci byłem...

Oburzony męczarnią, jaką mu znosić kazała, dotknąłem szorstko ramienia staruszki.

— Czy przekleństwo wskrzesi zmarłego? — przerwałem z wyrzutem. — Czy syn byłby wdzięczny pani, iż tam gdzie on niósł miłość, ty umiesz tylko ciskać zlorzeczenie? Więc mało ci jeszcze niedoli, skoro do śmierci, hańby i Sybiru, chcesz dodać przekleństwo, na które Karol w trumnie obruszać się musi?

Ręce jej opadły i zaplotły się rozpacznie.

— Pani, czyż stojąc nad grobem, potrafisz jedynie własne rozważać rany; czyż, niepomna doznanych dobrodziejstw, umiesz tylko rzuć przekleństwo tym, co tobie ostatnich lat parę, a sobie całe złamali życie?

W rysach jej sroga odbiła się walka.

— Prawda, — wyszeptala, — prawda. Synu mój, przebac, zem twoją śmierć pomścić chciała; przebac egoizm matki zbolałej!

Wązkie, zapadłe jej piersi ciężkie podniosło łkanie. Czuję, iż w łzach tych topnieje cały żal, cała straszna, nurtująca ją, a na bolu oparta, nienawiść.

— Ciotko! — zawołał więzień, poskoczywszy ku niej radośnie.

Cofnęła się, jak od wstrętnego płazu.

— O, nie dotykaj mnie! — wykrzyknęła. — Nie dotykaj dłonią w krwi syna mego zbroczoną. Niech ci wystarczy, iż ociemniała matka Karola będzie się starała zapomnieć, czyją ręką cios wymierzonym jej został, że przebacza temu, kto jej więcej niż życie, więcej niż światło, wydarł!

I pociągnawszy za ramię dziewczynkę, niewidoma staruszka zniknęła na progu.

Wstrząśniony do głębi, opuściłem wkrótce mury więzienne. Ocalić Goryckiego od straszego losu skazańca — zdawało się niepodobniestwem prawie; powróciwszy też po uspokojeniu nieszczęsnego do hotelu, siedziałem w ciężkiej pograżony zadumie, gdy naraz lekkie pukanie do drzwi przywołało mnie do rzeczywistości.

— Proszę wejść, — zawołałem.

Na progu ukazała się wysmukła postać niewieścia. Postąpiwszy kroków kilka, stanęła

i drżącą ręką odrzuciła gęstą zasłonę. Zdumiony, podniosłem się szybko. Była piękna, bardzo piękna; rysy jej wszakże kredowa pokrywała bladeść, w wielkich zaś czarnych oczach, bezmierny, rozpaczny prawie palił się smutek. Zanim wyraz ten, zanim arystokratyczna postawa i ruchy wytworne wskazały mi, z kim mam do czynienia, przybyła objaśniła z prostotą:

— Jestem żoną Stanisława Goryckiego.

Nazwisko to z trudnością przyszło jej wymówić. Podsunąłem żywo fotel, głęboki składając jej ukłon.

— Wszak pan wracasz z więzienia? — blademi pytała usta.

Skinąłem twierdząco, przyglądając się bacznie tej pięknej Galatei, która, igrając z sercem dwóch ludzi, jednego rzuciła na łup śmierci, drugiego na pastwę lodów Syberii.

— I cóż, żadnej nadziei? — wyszeptala trwożliwie.

Jakaś dzika chęć odplacenia jej za tamtych, opanowała mnie w tej chwili.

— Żadnej prawie, — odparłem, badawcze topiąc w niej oczy.

Drgnęła, rękę mimowolnym ruchem do serca przyciskając. Lica jej, jak marmur blade, białszemi się jeszcze stały, rozszerzone źrenice silniej od alabastrowej odbijały cery.

— Mąż pani jawnie przyznaje się do zbrodni; to uniemożliwia obronę, — ciągnąłem, czując, iż na duszy tej sprzecznymi targanej uczuciami, nie-miłosierną wykonywam wiwiskęcyą.

— Do zbrodni! — zawołała, zerwawszy się gwałtownie. — Jak pan możesz mówić coś podobnego? Pan, który przecież jesteś jego krewnym, który powinieneś wiedzieć, że on niezdolnym jest do spełnienia występku? Czyż wolno chwilowe zaślepienie, bezwiedny wybuch gniewu, porównać do zbrodni rozmyślnej? Zbłądził, ale przysięgam na zbawienie mej duszy, iż działał nieprzytomnie! Wszak mógł ukryć śmierć tę nieszczęsną, a jednak przyznał się jawnie i sam dobrowolnie oskarżył. Jest to dowód szlachetności, wykluczającej myśl podstępny. Pan go nie znasz: natura to zapalna, wrażliwa i nieugięta dumna. Karol musiał go drażnić, wyzywać sarkazmem; straciwszy też panowanie, nieszczęsnym za broń pochwycił.

Uniesiona zapałem, gorejącym w czarnych oczach, bronila go z wiarą głęboką, jaką szczere uczucie natchnąć tylko zdoła.

— Może miał powód do owego sarkazmu? — wtrąciłem.

— Powód? — i dumnym zmierzyla mnie wzrokiem; lecz wtem nowa snąc myśl jej błysnęła, osuwając się bowiem na fotel, mówiła z błagalnie złożonemi rękami:

— To Staś panu powiedział? Staś? O, Boże, — i on tam, w więzieniu, dręczy się myślą podobną. Dziś nie ufa mi jeszcze. Wobec pana nie mam tajemnic, bo wiem, że od ciebie, od twojej obrony zawisł los jego jutro. A więc posłuchaj: wiedz, iż mąż mój nie miał żadnego powodu do zawiści względem zabitego. Był to chłopiec ubogi, znaliśmy się dziećmi. Jako student przyjeżdżający na wakacje kochał się podobno we mnie. O przelotnem tem wszakże uczuciu młodzieńczem zapomniałam, poszedłszy za Stanisława. Odtąd nie widzieliśmy się nawet.

— A jednak wspomnieniem miłości tej bryzgnęłaś pani w oczy mężowi.

— Bo mię drażnił i obrażał swym chłodem, bo bądźcobaż chciałam w nim iskierkę zazdrości wykrzesać. Pragnęłam obudzić jego serce, pozyskać je przemocą, a on, rzuciwszy mi zarzut gonięcia za majątkiem, przyznał, iż sam dla posagu również ożenił się ze mną, opancerzony zaś chłodem lub szyderstwem, nieubłaganym stał się odtąd.

— Niema pancerza, któregoby słodycz i miłość kobiety przełamać nie zdołały — zauważyłem łagodnie.

— Za dumną byłam na to, — wyszeptala.

— Wobec dwóch dum nieugiętych, ta pryska pierwsza, która lepiej kochać potrafi. Prawdziwe uczucie nie zna miłości własnej, promień też jego szczery lody stopić potrafi.

— On mnie nie kochał, — przerwała głosem stłumionym.

— Przeciwnie, on panią dziś jeszcze kocha, jak szaleniec; zszak szarpany podmuchem zazdrości, przed zbrodnią nie cofnął się nawet.

Słuchała słów mych, jak objawienia.

— Czy sądzisz pani, iż Bóg, składając w drobne wasze ręce los i duszę mężczyzny, żadnych na was nie kładzie obowiązków; że wystarcza tu biernie dzielić życie męża i jego stanowisko? Stanisław był porywczy i gonił za majątkiem; od żony jednak zależało stłumić te złe instynkta, wydobywając na jaw z bogatej jego natury szlachetne wzamian pierwiastki. Nie uczyniłaś pani tego, wolałaś, dla złe zrozumianej miłości własnej, dwa od razu poświęcić istnienia, wolałaś, jednego skazać na śmierć, drugiego na wieczne wygnanie.

Torturowałem ją z wolna, sądząc, iż z duszy tej, i tak już walką udręczonej, wyrwie się jakieś słowo, jakiś szczegół, który będę mógł wyzyskać na uniewinnienie oskarżonego. Patrzyła jednak na mnie, jakby odurzona, a cisnąc rękę do czoła, powtórzyła:

— Ja—skazałam jednego na śmierć, drugiego na wieczne wygnanie?!

I pojawił się teraz dopiero, dodała:

Wygnanie? A więc pan myślisz, iż sądzić go będą, jak zwykłego zbrodniarza?

Nie miałem serca ostatniej odebrać jej nadziei; milczeniem też odpowiedziałem jedynie.

Podniosła się, zachwiała i ręką uchwyciwszy nerwowo za poręcz fotelu, stała przedemną jak posąg niemej rozpacz. Zdawało mi się, iż przez półgodziny spędzone tutaj, alabastrowo blade jej lica zapadły, wielkie oczy rozszerzyły się bardziej jeszcze. Myśl wyroku więcej ją napozór dziwiła, niż przerażała. Zauważyłem, iż nie prosi mnie o ratowanie męża; snadź czuła, że i tak uczynię wszystko, co będzie w mej mocy. Po chwili tylko otworzyła portfel trzymany w ręku, a wyjmując paczkę banknotów, złożyła je na stole.

— Panie, — mówiła z błaganiem, — wszak za kaucyję uwalniają więźniów?

— Tak, do chwili uprawomocnienia się wyroku.

— Dam więcej, jeżeli potrzeba, lecz ulituj się, wyrwij go z tych murów ohydnych. Wpierw jednak zaprowadź mię do niego. Jestem tu obca zupełnie, nie mam się zwrócić do kogo, a sama tak tracę głowę, iż nie wiem nawet, jak uzyskać pozwolenie zobaczenia się z mężem.

— I owszem, spełnię życzenie pani, sądzę wszakże, iż bytność w więzieniu należy odłożyć do jutra. Nie trzeba zakłócać mu spokoju, którego tak bardzo potrzebuje. — Posmutniała; posłyszawszy jednak, że nie mogę tracić dziś czasu potrzebnego do przygotowania obrony, zgodziła się na zwłokę konieczną.

Niestety, zabiegi moje i obrona niewielkie miały przynieść owoce. Sędziowie z innej na rzecz tę, niż ja, zapatrywali się strony, a nie uwzględniając okoliczności łagodzących, uznali przeciwnie, że stanowisko, majątek i wykształcenie podsądneho, zwiększają jego winę. Pozbawienie też wszelkich praw stanu i zesłanie na Syberję stanowiły osnowę wyroku. Gorycki wysłuchał go ze smutkiem głębokim i gnębiącym, lecz z niezachwianym spokojem. Setki oczu wlepionych weń natrętnie, ciekawie, sroższą dla wrażliwej tej natury stanowiło próbę nad wyrok przekleństwa i śmierci moralnej, w kilku zawarty wierszach. Hart woli i moc duszy jego w zdumienie wprawiać musiały.

Gdy wysłuchawszy potępiającej mowy prokuratora, obejrzałem się trwożnie po natłoczonej sali, lękając się spozstrzedz mdlejącą postać pani Izy, oczy me nigdzie jej nie napotkały; żaden okrzyk spazmatyczny, żaden płacz nie rozległ się wśród tych murów, które bywają tak często świadkiem rozpacz. Zaledwie jednak stanąłem na kurrytarzu, delikatna rączka spoczęła na mem ramieniu. Wismukła, ciemnym otulona płaszczem, z pięknymi rysami, za gęstą ukrytymi woalką, czekała widać na mnie, bo wyrzekła tylko stłumionym głosem:

— Wiem o wszystkim; chodźmy teraz do niego.

Podał jej ramię, czując, że potrzebuje pomocy; w parę zaś chwil później, ciężkie wrota więzienne otwierały się przed nami.

Na widok żony, Stanisław zerwał się i w tył cofnął, a w oczach jego zagrał straszny, ponury wyraz. Zdawało się, iż jest to jedna z tych chwil, w których, jak mówił, nienawidzić ją tylko umiał.

Ona, odrzuciwszy z twarzy zasłonę, stała z wielkimi oczyma błagalnie w niego utkwionymi. Można było sądzić, iż chce siłą wzroku tego ułagodzić go i przebłagać. Umiał się jednak wyrwać spod uroku, a krzyżując na piersi ramiona — zawołał:

— Pozbawienie praw i Sybir na całe życie! Jesteś wolną „Izo“, wolną nareszcie. Od tej chwili kodex nie uważa ciebie za mą żonę.

— Wolną?

— Tak. Możesz iść, odwrócić się od skazańca, możesz błyszczeć wśród tak upragnionych saloniów. Nienawistne ci więzy przysnęły nareszcie, zmieniając się dla mnie w kajdany. Idź, idź, — dodał gwałtownie, — nie urągaj mi próżno!

— Stasiu, — wybiegło na jej usta błagalnie.

Szarpnął się, jakby pod dotknięciem gorącego żelaza. Ten głos drżący elektryzował go, odbierał mu panownie nad sobą.

— Nie patrz tak na mnie, — wybiegło na jego usta zsiniałe. — Nie patrz! Czyż nie rozumiesz? Jestem od dzisiaj umarłym moralnie, wszak ręce moje w krwi zbroczono. Mnie gnają na Sybir, ty — możesz wkrótce poślubić innego.

— Tu, lecz nie na Syberji, — zaprzeczyła łagodnie, postępując kroków parę naprzód.

— Tam zginę tem prędzej.

— Zginiemy razem, — poprawiła.

Pobladał śmiertelnie.

— Stasiu, dość tych nieporozumień, przypłaciłmy je zbyt już drogo. Sądziłeś, że zostanę tutaj, gdy ty w śniegach i lodach północny pokutować będziesz za winę bezwiedną, której ja główną byłam przyczyną? Wszak przysięgłam ci na złą i dobrą dołę: dopóki więc śmierć nas nie rozdzieli, żaden wyrok ludzki dokazać tego nie może.

Skamieniałe w boleści swej rysy mężczyzny, straszniemi stały się nieledwie.

— Nie igraj ze mną, nie naigrawaj się, — wyszeptał tylko.

— Stasiu, czyż odrzucisz znów serce, któregoś tak długo nie chciał zrozumieć? — mówiła wyciągając ku niemu drżące ręce. — Wina, jeżeli jaka istnieje, wspólną naszą jest winą, razem też spłacić ją musimy. Zresztą, albow sądzisz, ukochany, iż życie bez ciebie, nie gorszem byłoby mi od Sybiru? Chodź, przejdźmy tę chwilę próby strasznej, na wzajemnej wsparci miłości, a może Bóg pozwoli nam jeszcze kiedy z podniesionem czołem do miejsc rodzinnych powrócić. I ramiona tej istnej kapłanki uczucia, z nieśmiałą tkliwością otoczyły szyję skazańca, aż zwyciężony, ryknawszy płaczem nieludzkim, głowę na wierną jej pierś pochylił.

Wzruszony do głębi, wysunąłem się cicho z celi więziennej. W kilka miesięcy później, na usilne moje starania, wyższa instancja sądowa wygnanie Goryckiego do lat trzech ograniczyła.

Wierna pani Iza towarzyszyła mu w głąb Azji, ufna, że i dla nich jeszcze po powrocie chwile szczęścia na ziemi rodzinnej zabłysną.

Czy wrócą jednak? Promień miłości, który potrafił zatrzeć pamięć zbrodni mimowolnej i osłodzić wygnanie nawet, może zdoła również dodać im sił do przetrwania tej strasznej próby; może, ukazując wśród lodów Syberji, czar błękitnego nieba rodzinnego, otuchą i nadzieją podtrzyma serca nieszczęśliwych.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

LXXI.

Szach i mat, komedia w 4 aktach, *Józefa Blizińskiego*, przedstawiona przez Tow. dramatyczne Poznańskie w Teatrze Wodewilu pod dyrekcją M. Trapszy i Cz. Janowskiego — dnia 1^o Czerwca r. b. **Nikareta**, komedia w 1 akcie, F. Cavalotti, tłumaczyła z włoskiego *T. Prazmowska*. **Niespodzianki rozwodowe** (Les surprises du divorce), komedia w 3 aktach, A. Bisson'a i A. Mars'a, tłumaczona z francuzkiego — na scenie Teatru Letniego.

Oryginalna komedia jednego ze znamienitszych pisarzy tegoczesnych musiała doczekać się aż pory ogródkowej roku pańskiego tysięcznego ośmsetnego ośmdziesiątego dziewiątego, aby ją poznać mogła Warszawa — w kilka lat po napisaniu i wydrukowaniu: dość wczesnie — nieprawdaż? Dawna dyrekcja nie lubiła dzieci, a ponieważ do komedyi Blizińskiego wchodzi rozmaitego wieku niedorostki, miała więc wstręt i do niej samej. Ze zmianą osoby zmieniły się i gusta: dzieci nie wzbudzają już wstrętu, *Szach i mat* przyjęty, a pierwsze przedstawienie zapowiadają nam na jesień w Teatrze Rozmaitości. Czekać do tego czasu ze zdaniem nie widzę powodu: gra w Wodewilu była taką, że można z niej ocenić wartość dzieła pod względem dramatyczności wewnętrznej i sceniczności: nie stanie się więc żadna krzywda autorowi, jeżeli już teraz powiem, co myślę o utworze, nie nowym, ale scenicznie najnowszym, cenionego słusnie komedyopisarza a osobistego mojego przyjaciela. Ten tytuł przyjaźni dodaje mi właśnie bodźca do szczerzego wypowiedzenia wrażeń i sądów, przez *Szach i mat* wywołanych.

Bliziński zamierzył w komedyi swej udramatyzować psychologią spadkową, jeżeli mi tak nazwać wolno summe i różniczkowanie się wrażeń i popędów chciwości w domniemanych spadkobiercach.

Zamiaru tego byłby autor dopiął w sposób doskonalszy, gdyby był różnorodniejsze, głębiej urozmaicone i głębsze obrał sobie charaktery, a dał im główne, nad wszystkimi innymi panujące, zajęcie z upędzania się za spadkiem po bogatym kawalerze. Tak uczynił np. Kraszewski w *Interessach familijnych*.

Temat podjęty przez autora jest nawskroś satyrycznym, a może też być rdzennie rozśmieszającym, wesolym. Jeżeli komu, to Blizińskiemu mówić nie potrzeba, że satyra śmieszności nie wyłącza: owszem potrzebuje jej i sama ją wytwarza; ale wszelki śmiech musi tu być sługą twórczego rozumu i ześrodkowywać się naokoło tych właśnie postaci, które mają uosabiać, jak *np.* tutaj, chciwość i żądę łatwego zdobycia majątku. Jeżeli śmiech rozprasa się na stronę, albo też rozum krytyczny, ojciec satyry, utraci cel swój główny przed oczu, — wtedy dzieło umysłowe, jakim jest komedia, nie będzie miało treści własnej tak silnie w sobie skupionej, zjednostkowanej, aby ona dusza jego być mogła, a przez to i jego zewnętrzny przejaw nie będzie nigdy dość wyraźnym w swej charakterystyce.

W dany ośrodek satyryczny wprowadził Bliziński śmieszne miłostki dwojga niedorostków które i są jeszcze zbyt młodemi na miłość, a zbyt czystemi na chciwość, i niczem wewnątrznie, psychologicznie się nie łączą z tematem głównym komedyi. Te miłostki dają szkodliwą dywersyj satyry, a dziełu raz już w powyższy sposób upostaciowanemu odejmują charakter właściwy, prawny, niejako w akta stanu cywilnego sztuki wpisany. Śmiejemy się przecież z Lizi i Maciusia, śmiejemy się i z Byłkiewicza i z Grdyńskiej, a jeżeli do tej czwórki dodamy jeszcze p. Alfreda Krzyskiego, pudlującego ciągle myśliwca na posagi i regenta Szeligę — *spiritus rector* sztuki — będziemy mieli ten krąg osób, w którym odbywa się ruch komedyi. Oboje Truńscy i Hordakowscy, oboje przyszli państwo Oliccy (Zenon i Kazimiera) — wszystkie te trzy pary pojedynczemi raczej rysami, niż całkowitemi charakterami, więcej biernie,

niż czynnie, przeważnie tylko jako zwierciadła dla wrażeń—wchodzą do budowy komedii.

Utwory Blizińskiego odznaczają się zwykłą prostotą w przedstawieniu charakterów, jasnością i przejrzystością architektoniki dramatycznej; w *Szachu i macie* od drugiego aktu wchodzimy jakby do mieszkania, w którym więcej miejsca zajmują kurrytarzyki, sionki, nisze i wszelkiego rodzaju zaułki, niż izby, w którychby przestronności i światła a płucem powietrza nie brakło. Starając się o *akcję i intrygę*, Autor starał się zanadto gorliwie, gorączkowo (przy znanej namysłowości tego talentu wyraz to może niewłaściwy) i tak poplątał wypadki, że ostatecznie i charaktery same w ich plastyce zjawiskowej pokrzywdził. Co może mieć do czynienia taki Alfred, człówek z wytartym czołem, w towarzystwie ludzi przeciętnie uczciwych, jakimi są ludzie komedii? — Po zemdleńiu Kazimierzy, które w końcu pierwszego zapowiada nam w tej kobiecie charakter prawy i silny, nie mógł chyba liczyć na to, że z *gąską* łatwo sobie poradzi. A podstęp ukazujący mu nadzieję otrzymania Lizy, do niczego nie prowadzi i ani psychologicznością ani komizmem swym nie usprawiedliwia swej racyi bytu. Właściwie autor, zatrzymawszy już Alfreda po akcie I, nie wiedział dobrze co z nim zrobić, jak nie wiedział czem zająć Kazimierę; oboje unikają się wzajemnie, autor sam także ich unika — i powstaje z tego stosunek artystycznie nieszczerzy, w którym widać i zbroczenie myśli twórczej i próżnią, mechanicznie tylko wypełnianą układami z regentem, z Byłkiewiczem z Grdyńską, a zalecankami do Lizy. Przyrzeczenie dane przez Kazimierę nieponiowi w akcie III,—jest nieprawdziwem ze względu na sztukę, wstępnem ze względu na moralność a niezgodnym z całym zarysem charakteru tej kobiety w akcie I.

Najlepszym i zupełnie dobrym jest akt I; on głównie dźwiga na sobie założenie sztuki; w drugim widać już przechylenie się na stronę śmieszności naiwnej; czwarty daje rozwiązanie splełanych węzłów konwencyonalne, ale toczy się gładko. Bez aktu III sztuka mogłaby się obyć; zyskałaby na tym ubytku, bo byłaby zwiększoną, jaśniejszą i w swych wierzchołkach wybitniejszą.

Odznaczają się sztuki Blizińskiego także i charakterami. Od najpierwszej, — nie historycznie-literacko, ale praktycznie, życiowo najpierwszej— od *Kawalera Marcowego* przyzwyczail nas autor *Pana Damazego* do dobrego rysunku i dobrego pędzla w malowaniu charakterów. W *Szachu i Macie* spotykamy dawnych swoich znajomych, w nowym tylko położeniu, na nowym karuzelu gonitwy życia. Takich Byłkowskich i Grdyńskich typy zapewne już nieraz powtarzane; ale niedorostki ze swemi miłostkami są nowe, a dzieciaki podpatrujące Maciusia i Lizię stanowią nawet pewnego rodzaju kontrabandę teatralną. Truńscy niczem się nie odznaczają; zato Hordakowscy mają zarysy oryginalne, chociaż wykonane niejako tylko węglem, zgrubsza, ze znamionami i wartością jedynie tylko pomysłów. Są to istoty spokojne, zamknięte w sobie, rozsądkiem i egoizmem układnym, eleganckim, ale nieczyhającym na bliźniego wypełnione; majątek dodaje im pewności siebie; opinia więcej u nich waży, niż treść. Wiedząc, że każdy sam za siebie żyć musi, zostawiają oni dziecku swemu swobodę w wyborze losu, ale nie trzymają się podczas tego wyboru na uboczu, a tę nieobojętność matka prościej i rozumniej, niż ojciec, objawia. Nie zgadzam się na upór aż do upadłego w p. Hordakowskim, na to *veto* zakładane już w ostatecznej chwili wyrównywania się przeciwności i wpływania do portu szczęśliwego małżeństwa — tej przystani wszystkich świętych; nie widzę żadnego rozumnego powodu, dla którego szlachcic zaraz po poznaniu się na Alfredzie i affroncie z cygarem nie miał przyjąć małżeństwa z Zenonem za jedynie praktyczne rozwiązanie i wypadków i zawilosci prawnych i serdecznych stosunków. Wytknięte wyżej powikłanie kłębka dramatycznego razi nas i w tym wypadku.

Właściwością *Szacha i Mata* jest rozegranie się wszystkich wypadków dramatu w ciągu dwu-

dziestu czterech godzin. Regent, trochę zawiele uwijający się w sztuce, przyjeżdża jednego dnia z testamentem, odczytuje go i wywołuje wrażeń, żądze i zamiary, a na drugi dzień, po dwudziestoczęsto-godzinnym namyśle, jak chciał testator, — ściąga z zapisobierców postanowienia mające już prawnie obowiązywać. Wszystko, co się dzieje w sztuce zamyka się między temi dwoma kopcami granicznymi. Ludzie nie mają czasu ani się psuć ani naprawiać; są jakimi byli: tem łatwiej można i tem konieczniej potrzeba utrzymać ich we właściwych charakterach.

Towarzystwo dramatyczne poznańskie odznacza się troskliwością i umiejętnością stercniczą i objawia stale dbałość o niezapowietrzanie swej sceny sztukami mającymi więcej prawa do hippodromiki i choreografii, niż do dramaturgii. Wystawienie *Szacha i Mata* mogło zaspokoić niezbędne wymagania w głównych osobach i momentach sztuki. Grdyńska, Bykowski, Lizia mieli dobrych przedstawicieli w p. Trapszowej, p. Skirmuncie i p. Bolesławskiej.

Grecka *Nikareta* jest tak grecką, jak p. Cavallotti jest Grekiem. Grecya służy tylko za kanwę nowożytnemu wzorowi i nowożytnę rękę. Rozwody ateńskie, wspomnienia Aryadny i Pentazyli, Tezeusza i Dyonizosa, Menelausa, Heleny i Parysa, nazwy greckie, kolumny i atria, Zeusy i Olimpiady — wszystko to prawdziwe, tylko słowa i myśli i metoda namiętności — sfalszowane. Przyjawszy już owe Ateny tylko za wybieg autora, nieumiejącego dzisiejszych ludzi wsadzić w formy dzisiejszego życia — trzeba przyznać *Nikarecie* staranność, czystość i okragłość opracowania, styl nietuzinkowy i w ogóle zalety utworu literackiego. Wartości dramatycznej ten utwór nie ma wielkiej. Gdyby Protomachos, dawny mąż Nery, był dzielniejszą jakąś osobistością, gdyby pomiędzy dzisiejszą *Nikaretą* a nim mogło nastąpić starcie się dusz, t. j. egoizmów, namiętności i uczuć — obrazek ten, niewłaściwie nazwany komedią, bo jest raczej dramacikiem, miałby znaczenie i jako utwór dramatyczny. Przy nicości pierwszego a olimpijskim spokoju drugiego męża, po gorących pocałunkach małżeńskich, którym towarzyszy stałe zapytanie: „Czy pozwołisz?“ zwracane do wywłaszczzonego przez nowego właściciela — dramacik może zajmować tylko sposobem wygłaszania deklamacji przez Nerę-Nikaretę. Nic się w nim nie dzieje: niema więc dramatu, ale się sporo mówi — są więc dialogi. Jestto jakby przysłowie dramatyczne o kobiecie: „Trzymaj w garści, póki czas, nie łap już gdy raz pofrunie.“ Dowiadujemy się w samym końcu sztuki, że biednego tego Protomachosa sprowadzono sobie umyślnie dla przyspieszenia rozwodu; ale aż do końca widzimy, że wlaź tam samowolnie, aby się poddać torturom, z których największą jest ironia nad klęczącym u kolan, żalującym za swe grzechy i nanowo wyznającym miłość pierwszym mężem — wesołej Heleny. Nie dziwimy się dlaczego jej lepiej z Tukrytesem: taki słamazarnik musiał ją rozgniewać samem tylko podejrzeniem o niewierność. Mówi tam coś ta pani, że kobieta lubi wyższość i wyższości szuka w mężczyźnie: są to tylko piękne słówka. Czego innego szukała i co innego znalazła. Mogłaby być tak dobrze Heleną, jak i heterą. Nie oryginalnego niema ani w niej, ani w Protomachosie; oryginalnym tylko jest Tukrytes, — silny, więc spokojny, i obojętny na pozory, bo kochany i czujący się niewzruszonym w posiadaniu. Ironizująca jego siła rzeczywiście może się podobać.

Dobrze deklamowała swoją *Nikaretę* p. Noiret; nie dopisał jej tylko głos w ostatecznej chwili przed tyradą Protomachosa, zakończoną rzuceniem się do kolan dawnej żony.

Zauważyłem już raz na tem miejscu, że głos panny Noiret znacznie się poprawił przez ustawiczną pracę, o której świadczą kolledzy — kolledżanki do dobrych świadectw nie są tak skore. — Duże zdolności artystki nakazują jej żyć wyjąca na zupełnie równą drogę, na której mogłaby już wlaść w sposób ściśle artystyczny, nigdy niezawodzący bogatym zasobem, jakiego jej nie poskapła natura, dając prócz okazałej postaci i twarzy wyrazistej, zajmującej, jeszcze i organ głosu rzadkiej siły. P. Kotarbińskiemu

było bardzo dobrze i w roli i w stroju Tukrytesa i w całej tej zjawiskowości greckiej, która snadź lepiej do rodzaju jego zdolności przypada, niż wiele ról nowoczesnych. W ogóle artysta swobodniej porusza się w dniach dawniejszych, niż w dzisiejszym. Jego Tukrytes, zapewne nie ogromny, nie olbrzym w sile i ruchu, jest przecież pięknym wytworem sztuki scenicznej. Warto być na *Nikarecie*, aby w niej zobaczyć tę parę szczęśliwych małżonków nie-małżonków. Nie-szczęśliwym Protomachosem był p. Ładnowski.

Niespodzianki rozwodowe, dwóch sprytnych Francuzów, który powiedzieli sobie, że muszą wywołać śmiech i zrobić pieniądze, — doprowadziły ich do celu: w teatrze pełno i wesoło. Jest to sztuka kombinacyjna: twórczość w niej zasadza się na wymyślaniu niezwykłych lub poza obrębem psychologii dramatycznej leżących stosunków i położen w życiu, i wywoływanie humoru czysto *sytuacyjnego*, niezależnego od dowcipu w słowach. Tak np. stara, 60-letnia ex-baletnica przebiera się za Sylfidę, i tańczy jakby w dniach swej świetności; zięć nienawidzi ją, tłucze — rozwodzi się jej córką, żeni się nanowo; ale wszystko nadaremnie: nowy jego teść pojął właśnie za małżonkę pierwszą jego żonę wraz z nieodłącznym annexem, matką; i znowu pod jednym dachem znajduje się teściowa i zięć dawny. I tak dalej. Nie można tego wszystkiego nawet sądzić ze stanowiska sztuki: takie utwory sądzi się tylko ze stanowiska cyrku; człowiek zapomina o sobie i wobec tego niewysłowionego głupstwa na parę godzin żyje tylko okiem i słuchem.

Musi się śmiać i krytyk i widz zwyczajny — owiele od niego szczęśliwszy, bo mu żadne krytyczne rozumy wesołości nie mąca. Mnie osobliście rozśmieszała pani Mazurowska jako owa sylfida. Samo zjawienie się jej na scenie porusza nerwy i ściągacze śmiechu: jedyne w swoim rodzaju zjawisko. O grze artystów naszych w takiej sztuce mówić nie będę.

Stanisław Krzemiński.

Powódź w Pensylwanii.

Strasliwa klęska nawiedziła d. 31 Maja r. b. dolinę rzeki Conemaugh na zachodnim stoku Alleghanów: miasta, wsie, osady, wielkie fabryki, mosty, linie dróg żelaznych — pozniakały z powierzchni ziemi; tysiące ludzi zatoneło w nurtach potoku, którego nie zna żadna geografia, bo go nagle zaimprovizowała sobie natura, dając mu za łożysko całą dolinę, aby rwał i unosił ze sobą wszystko, co na swej drodze napotka. Od czasu wielkiego trzęsienia ziemi w Peru w r. 1868, nie było w Ameryce tak wielkiego nieszczęścia a całą okropność jego zwiększa jeszcze ta okoliczność, że na niepamiętną klęskę, oprócz potęgi ślepego żywiołu, złożyła się także i potęga lekkomyślności ludzkiej.

Na kilka dni przed wypadkiem, daleko od jego widowni, w Stanie Colorado, zerwał się gwałtowny huragan, i popędziwszy nad wielkie jeziora oddzielające Stany Zjednoczone od Kanady, wrzucił w nie masę wody deszczowej. Nagle oziębienie powietrza ściągnęło ciepłe prądy znad Atlantyku, a z nich powstały nowe burze i ulewy nad całym przestworem wodozbioru allegańskiego w Pensylwanii, Wirginii, New-Yorku, Rhode-Island i w Okręgu Kolumbijskim. Wszystkie rzeki większe, jak Ohio, Susquehanna, Potomak powzbierały: w Washingtonie, w Harrisburgu, urzędowej stolicy Pensylwanii, w Richmondzie, Williamsport i innych — całe dzielnice stanęły pod wodą, a mosty na kolejach żelaznych i same drogi doznały ciężkich uszkodzeń. W jednym tylko stołecznem mieście Unii szkody od spienionego Potomaku oceniono na milion dolarów.

Lecz była to dopiero niewinna zabawka żywiołów. Na Zachód od Alleghanów, przy drodze żelaznej z Harrisburga do Pittsburga, płynię

zasilająca Ohio mała rzeka Conemaugh, w dolinie tejsamej nazwy. Do niej wpada, wybiegłszy z gór, rzeczulka South Fork. Niegdyś, w czasach żeglugi wewnętrznej, zatrzymano ją i uwięziono w staw dla zasilania Kanału Pensylwańskiego, dziś już bez znaczenia. Był to staw największy na całym terytorium rzeczypospolitej; długi na całą milę geograficzną, miał ćwierć mili szerokości a głębokość jego w wielu miejscach przechodziła 100 stóp. Z wymiarów tych widać, jak wielką masę wody zawierało w sobie to sztuczne jezioro. Bogaty patrycyat Pittsburga postanowił z niej skorzystać. Pomimo znacznej odległości (około 90 mil angielskich), urządził tu sobie rybołówstwo i wszelki sport wodny; nad brzegiem pobudował łazienki, domki letnie, — sale posiłku i zabawy. Od strony doliny Conemaugh, opór wodzie stawiała grobla, długa na 900 stóp, wysoka na 100, gruba u podstawy w niektórych miejscach na 90 stóp, przy szerokości wierzchniego nasypu dochodzącej do dwudziestu: rozmiary imponujące, ale tylko rozmiary, bo woda z jeziora sączyła się przez tę masę ziemi ustawicznie. Ostrzegano o tem oddawna, tak Pittsburyczków, jak i mieszkańców doliny. Ci, których przestrogi te bezpośrednio dotyczyły, przeprowadzali nawet korespondencją urzędową, ale sprawa szła ociężała, leniwo. Wiedzieli o niebezpieczeństwie wszyscy, ale każdy rad sobie mówił: „Jakoś to będzie.“ I rzeczywiście *jakoś* było — ale jak?

Według obliczenia opartego na wodomiarze jeziora dwudniowa ulewa (dd. 30 i 31 Maja), zwiększyła zawartość wody o 3 miliony gallonów, (przeszło 106.000 beczek korcowych). Gdy tak wzrósł nacisk na groblę — grobla uległa. O godzinie 5-ej wieczorem, w Piątek d. 31 Maja woda przerwała wał i rzuciła się ze straszliwym szumem i łoskotem w dolinę. Na drodze swej najbliższej miała miasteczko South Fork o dwutysięcznej ludności: zmyła je, lotem błyskawicy dotarła do Mineral-Point, z 800 mieszkańców zostawiła tylko garstkę — i potoczyła się dalej. Bokiem wżarła się do Conemaugh i cztery piąte tej osady zniszczyła do szczętu. Z dwóch tysięcy mieszkańców połowa zaledwie ocalała. Potok biegł gwałtownie, niepowstrzymany niczem, rosnąc ciągle — podobny do straszliwego potworu.

O dobrą milę geogr. od South-Fork, już w głębi doliny, o 250 stóp pod poziomem zwykłym wody w jeziorze, leży — a raczej leżało — niestniejące już dzisiaj — miasto Johnstown. W niezapomniany ów dla Pensylwańczyków Piątek, zaraz po godzinie 5-ej, usłyszano od strony stawu szum nierzwykcyj silny, który tłómaczono sobie wystąpieniem jakiegoś zjawiska atmosferycznego. W pół godziny później ujrano już wodę pod miastem, które już poprzedniego dnia otrzymało było groźną przestrożę o niebezpieczeństwie, ale nie chciało z niej korzystać. Po południu w Piątek dopiero zamożniejsi zaczęli się wynosić. Kiedy woda wbiegła już na ulice samego miasta — „Co to jest?“ — pytano. — „E, to nic: jak przyszła, tak pójdzie.“ Syn właściciela dwupiętrowego domu, ocalony później Hessler, z przestachem daje ojcu znać, że woda już w sieni. — „Tak już nieraz bywało.“ W pięć minut później na ulicy ludzie brnęli już po pas w wodzie, a w kwadrans Hessler *senior* był już topielcem, szesnastoletni zaś wyrostek siedział już na dachu, gdzie go woda z łóżkiem wyniosła.

Gwałtowność prądu przechodzi wszelkie pojęcie. Ludzie lecieli, uciekając, ale woda leciała prędzej od nich; chronili się na dachy i drzewa, ale woda zmywała i jedne i drugie. Ten tylko ocalał, kto owego ostrzegającego szumu nie wziął za zjawisko atmosferyczne i wcześniej pomyślał o ratowaniu się w góry. A gdzieżby, jeśli nie w Johnstownie, niszczący żywioł znaleźć miał obfitą dla siebie pastwę? Miasto przemysłowe, liczące przeszło 25.000 mieszkańców, zbudowane przeważnie z drzewa, ściśnięte przez góry, a położone w tak niewielkiej odległości od jeziora, głęboko pod jego normalnym poziomem — było z góry przeznaczone na zniszczenie, skoro tylko raz jezioro, zerwawszy swe więzy, stało się napowrót rzeką. Zniszczenie też było szybkie, straszliwe. W ciągu kilku minut rzeka porywała i unosiła ze sobą całe domy. Wysokość postępującej kolumny do-

chodziła do 30 stóp. Domy, dachy, belki, deski, galary stojące w przystani na Conemaugh, drzewa powyrywane z korzeniami — wszystko to pobiłoby się w ogromne pływające rumowiska, po których roili się wśród krzyków, jęków i łez nieszczęśliwi, jeden drugiego spychając, aby siebie ocalić. Próżna nadzieja, zbyteczny egoizm! Śmierć wszystkich zrównała i pogodziła.

Nie dość było powodzi: musiał przyjść ogień. Miasto zalewane, jednocześnie się paliło. Płonęły nawet owe pływające rumowiska, zamieniając się dla nieszczęśliwych w ogniowe już stosy. Oba wrogie sobie żywioły sprzymierzyły się teraz ze sobą, aby zwiększyć zniszczenie. Smutni świadkowie tych pożarów mieli widok, jakiego nie miał sam nawet Neron, podpalivszy Rzym. Zaraz po opadnięciu wód znaleziono przeszło pięćset ciał zwęglonych, a znalazło się później niezawodnie i więcej.

Poza Johnstown, w niewielkiej odległości, pod Bolivar, był most Kolei Pensylwańskiej Zachodniej. Opierał się on długo naciskowi wody, aż wreszcie sam runął. Z tego mostu usiłowano dawać pomoc nieszczęśliwym, rzucając im liny, pasy i obręcze ratunkowe. Dziwnie przytem znęcał się los nad ofiarami powodzi. Oto jakiś młodzieniec na naniesionem przez wodę rumowisku płynie wraz z dwiema kobietami, z których starsza wygląda na jego matkę, bo ją gorętszymi staraniami otacza. Rzucono im liny; ale kobiety nie umiały sobie z niemi poradzić, a jego potracił galar, wyrzucił i uniósł ze sobą. Pod samym mostem uchwycił się rozbitek jednego ze zwieszonych sznurów; widząc jednak ginące kobiety, instynktownie rzucił się ku nim, puszczając sznur. Galar tymczasem rozbił się o brzeg, ale na brzegu stało jeszcze drzewo; konary sterczały jeszcze nad wodą. Jakby na większą ironią, przypadek przyniósł właśnie w to miejsce i obie kobiety. Dzielny człowiek, jedną ręką trzymając się tylko gałęzi, bez żadnego innego oparcia, drugą dopomógł towarzyszkom swej doli wydostać się na drzewo. Mogli się już wszyscy za ocalonych uważać, kiedy nagle rozległ się straszliwy trzask, wrzask, łoskot i szum. Jedno przeszło mostu pękło; potworowi przybyły nowe ofiary; otworzyła się głębia; powstał zatwór, podniósł się prąd gwałtowniejszy, wyrwał drzewo i wraz z niem troje tak już blizkich ocalenia pogrążył w przepaści.

Dnia 2-go Czerwca zrana dopiero można było ocenić ogrom nieszczęścia. Na czterdzieści mil angielskich wzdłuż całej doliny była jedną pustynią. Po South Fork, Mineral Point i Conemaugh poszło jeszcze z dziesięć miejscowości, ze wszystkimi zabudowaniami i całemi setkami ludności. W Oakley utonęło 700 osób. Z całego Long Hallow pozostał zaledwie jeden dom. Zniszczone są zupełnie, bez śladu zmyte, Woodvale i Sheridan. Bolivar, Nineveh, New Florence, Saltsburg stanęły pod wodą; w Nineveh wybuchł pożar i sam już zabrał 75 ofiar. Ów most, z którego ratowano rozbitków, po wyrwaniu przez wodę pierwszego przesła, musiał jej oddać już i wszystkie pozostałe. Jeden tylko most murywany na całej tej potopowej drodze ocalał, i to położony już dalej, gdzie pęd wody był słabszym.

Ci, którzy zdążyli jeszcze schronić się w góry, musieli w Sobotę patrzeć na to, jak jej szalony żywioł zniszczył, nie tylko wszystek dobytek, ale i samą siedzibę. Z całego miasta pozostało paręset zabudowań, i to zniszczonych, a podczas największego nateżenia tego istnego potopu trzy tylko budynki wznosiły się ponad poziom wód: Biblioteka Morrella, szkoła miejska i magazyn główny w wielkiej, największej w Stanach Zjednoczonych fabryce stali, należącej do „Cambria Iron Company.“ „Cambria City“ jest już tylko przestworem rumowisk, z wyjątkiem paru budynków najtęższych. Przedmieście Morrellville, zniknęło. Samych tylko mieszkańców Johnstownu zginęło do osmiu tysięcy; bez przesydy można ogólną liczbę ofiar tej strasznej powodzi ustanowić na dwanaście do piętnastu tysięcy. Ludność ogólna miejsc dotkniętych powodzią dochodziła do 55.000. Szkody poniesione przez samych tylko mieszkańców oceniają na 20 do 25 milionów dolarów. Nie wchodzą w tę sumę straty „Cambria Company“, oraz dróg żelaznych. W Cambria-City

pracowało 6 tysięcy ludzi. Męzkich ofiar Johnstownu najwięcej ztamtąd powódź zabrała. Zresztą najwięcej było kobiet i dzieci. Mężczyźni, lepiej uciekali, jako silniejsi.

W końcu miasta, od strony Pittsburga, na skraj doliny utworzył się zator: tam właśnie najstrożej pastwiły się płomienie, przychodzące w pomoc falom. Pożar tego ogromnego, na czterdzieści stóp wysokiego stosu, utworzonego z ludzi i szczątków wszelkiego rodzaju, trwał jeszcze w Niedzielę i w Poniedziałek, na czwarty dzień po wypadku. Lekarze, obawiając się zarazy, radzili pozostawienie ogniovi zupełnej swobody; ale serca ludzkie nie usłuchały lekarskiej rady. Każdy chciał zobaczyć: czy nie ma tam blizkiego, chciał chociaż umarłego pożegnać. Ogień ugaszono i rozpoczęło się bolesne odgrzebywanie. Dwie tylko osoby znaleziono jeszcze żywymi. Liczbę ciał na tym stosie podaje „New York Herald“ na 1.500.

O wściekłości żywiołu, rozzuchwalonego ogromnym spadkiem, dać może wyobrażenie fakt zaskoczenia przez wodę dwóch pociągów w biegu będących. W pociągu pośpiesznym do Chicago utonęło piętnaście osób. reszta ocalała tylko dzięki ucieczce w pierwszej zaraz chwili na poblizkie wzgórze. Pomiedzy ocalonymi jest i sekretarz Harrisona, prezydenta rzeczypospolitej. Gorszy los spotkał pociąg kolei zachodnio-pensylwańskiej: z siedmdziesięciu osób jadących nim sześćdziesiąt utonęło. Ciężar parosilni i jedenastu wagonów niczem był dla rozpędzonych wód. Wszczął się i tu pożar, od lokomotywy. Sto siedmdziesiąt dwa kilometry Drogi Żelaznej Pensylwańskiej uległy zniszczeniu.

Nazajutrz po klęsce przysłał gubernator pensylwański do Johnstownu dwieście trumien, przyrzekając jeszcze przysłać dalszych tysiąc ośmset.

— Chleba nam dajcie — wołali żywi. Znalazł się i chleb, a przywożono go aż z Filadelfii. W Poniedziałek nikt już na głód nie narzekał. Pomyślano odrazu i o innych potrzebach. W całych Stanach Zjednoczonych burmistrzowie znaczniejszych miast powzywali obywateli do składek, a wielkie grody odrazu z miejskich funduszów powyznaczały datki miłości bliźniego. Filadelfia już we Wtorek dała pół miliona dolarów. Pittsburg, New-York, Washington, Richmond, Chicago poszły za dobrym przykładem. Drgnął współczuciem i Londyn; odrazu złożył 100.000 dolarów. Do dnia 6 Czerwca, w ciągu tygodnia zatem, zebrano *dwa miliony dolarów*, a składki jednostek i całych gmin nie ustają. Amerykanie; przywyczajeni do rządzenia się własnym rozumem i wolą, przez to samo już mogą i w zbiorowych dziełach ludzkiego miłosierdzia działać z energią, pośpiechem i rzeczywistą miłością człowieka dla człowieka; bo i ta miłość także potrzebuje wprawy, aby się skutecznie objawiać. Wszystko jest u nich na wielką skalę, dzięki tylko ich wielkiej wolności. Miewają wielkie klęski, ale mają też zawsze nie mniejszą wolę i środki do zatarcia ich śladów.

SŁOŃCE O PÓŁNOCY.

Wyprawy na północ mnożą się. Jak niegdyś człowiek darł się w krainy słoneczne, gdzie spotykał się z zachwycającymi go cudami natury i kopał złoto, tak obecnie pociągają go tajemnice wiecznych lodów i śniegów — świat podbiegunowy. Norwegczyk Sverdrup, marynarz, kapitan okrętu; Dr. Frithof Nansen, przyrodnik, Norwegczyk także, zapędzali się od lat paru pod niegocinne niebo Grenlandyi.

Sverdrup w towarzystwie Eskimosów dotarł na saniach i łyżwach do najdalszego krańca północy, jaki kiedykolwiek był dostępnym dla człowieka cywilizowanego.

Nansen w przeciągu 26 dni przebył na łyżwach wyspę przez całą jej szerokość ze wschodu na zachód. Ale to nie było jeszcze zajrzenie dostateczne w zakryte tajemnicą oblicze przyrody

podbiegunowej i w roku zeszłym dwaj ci ludzie stowarzyszyli się do dzieła. Przybrawszy jeszcze do siebie Dietrychsona, porucznika marynarki, i wieśniaka Christiansena - Norwegczyków także, przynajmiej dopomocy dwóch Laponczyków, puścili się w Lipcu 1888 r. ku wschodnim brzegom Grenlandyi na statku „Jazon“.

Trafili na pierścien lodów ruchomych, półtrzęsiej mili szeroki; kra rozbiła im statek, na szczęście już u brzegów, wylądowali więc i w d. 15 Sierpnia puścili się w głąb wyspy na zbadanie jej tajemnic. Drogę odbywali na łyżwach, zapadając nieraz w śnieg wyżej pasa. Przebywając lodowce, dodawali łyżwom żagle i przezimowali z Eskimosami, dzieląc ich mieszkania, polując na dzikie reny, aż d. 4 Maja bieżącego roku opuścili Grenlandyę. Wkrótce stanęli z powrotem w Kopenhadze, gdzie ich wzywał dług wdzięczności, bo mieszkający tam bogaty Dunczyk Gamel łożył wspaniałomyślnie na koszt wyprawy.

Dr. Nansen pamiętnik wyprawy spisał; czytać go będzie można zapewne niedługo, bo już wyjątki z niego drukował w piśmie grenlandzkim. Człowiek dowie się zatem jeszcze coś z tajemnic planety, którą zamieszkuje. Wierzone, że w głębi wyspy, po za pasem lodów, istnieje kraina szczęśliwości: oazy roślinności bujnej, utrzymywane przez ciepło podziemne, wulkanicznej natury. Mieli być tacy ludzie, którzy zdołali się dobić do tych miejsc, podobnych Ziemi Obiecanej. Czy nie stworzyła podania fantazja osadników norweskich, którzy stanowią ludność tutejszą, trzymającą się jednak wciąż pobrzeży? Osiadła tu ona w X wieku i geografia dzisiejszej wyspy, porównana z ich historycznymi dokumentami, wykazuje, że ogromne pola lodowe, największe ze znanych na całej kuli ziemskiej, poza którymi dopatrywano przestworów, ogrzewanych szczęśliwie przez ciepło ogni wewnętrznych, nie zmniejszyły się, ani rozszerzyły wcale — nie zmieniły bynajmniej postaci swojej. Zatem klimat wyspy nie uległ żadnej różnicy przez dziewięć wieków, co drugostronnie sprzecza się z teorią naukową zmienności klimatów ziemi.

Wskazówki te z zakresu przyrodoznawstwa Grenlandyi podaje badacz francuzki, Karol Rabot, wysłany w roku zeszłym przez francuzkie ministerium oświaty w celu badania Grenlandyi i w ogóle przyrody podbiegunowej. Nie zapuszczał się on tak daleko, jak wspomnieni wyżej podróżnicy norwescy, co zaś do obrazu wybrzeży Grenlandyi, te w opisie jego nie wychodzą one wcale posepnie. Latem klimat jest bardzo przyjemny i kraj przedstawia się malowniczo, ponieważ oko spotyka nadszpiewanie wiele krzewów, drzew karłowatych, mnóstwo roślin pnących się dla których zapewne, gdy rozwieszają po stokach wyżyn swój płaszcz zieloności, pierwsi osadnicy nazwali wyspę Grenlandyę — ziemią zieloności.

Rabot był również w Norwegii, aby z laponskich wybrzeży Morza Lodowatego, z Północnego Przylądka, oglądać słońce o północy...

Pierwszym przystankiem podróżnika i pewnym etapem jego drogi jest tu Chrystiania. Przybycie tam morzem przedstawia obraz bardzo malowniczy. Pływie się długim fiordem, to wązkim i krętym, jak rzeka, to szeroko rozlanym i spokojnym jak jezioro, a z obu stron krajobraz jest pełen wesołego wdzięku, bo najświeższej zieloności, która pokrywa wybrzeża rzek i rozległe błonia, wysepki dalsze, wzgórza, a tu i tam laski sosnowe, wśród których wznoszą się wielkie białe skały, tak rozsiane, jak gdyby je tam mieścił malarz peizażysta.

Zatoka czyni zwrot i Chrystiania ukazuje się naraz, jak niezmierna chorągiew trójkolorowa, spuszcza się z góry na dół. Miasto białych i czerwonych domów, zbudowane na pochyłości skalistej, niebieskiego koloru, czyni to złudzenie. Zdaleka zdaje się, że miasto to jest wspaniałe, ale jest i to obalamucenie oka. Ulice są ciasne, mało ożywione, zabudowane nieporządnie, nieharmonijnie. Obok wielkiego ciężkiego gmachu niski domek, często drewniany. Podróżny nie znajdzie też tutaj żadnego historycznego pomnika. Uniwersytet, naśladujący niby świątynią grecką, jest posepny i brzydki, pałac królewski to kwadrat

białych murów. Dość godziny czasu, aby to widzieć i podróżny wyjeżdża też ztąd bez żalu, bez spojrzenia w tył się zwracającego. Kolej żelazna ma tor bardzo wązki, lokomotywa wygląda jak zabawka, wagony jak małe omnibusy, a jedzie się tak powoli, jak starym dylżansem, zatrzymując się co stacya, a tu budynki wszystkie są drewniane, malowane olejno, i wyglądają jak szalety szwajcarskie, tak czyste, jak gdyby je pod kloszem trzymano.

I żadnego wrażenia natury północy nie doznaje podróżny znikąd. Niebo jest jasno błękitne, pola dobrze uprawne, łąki mieniące się od kwiatów a w głębi widnokregu góry barwy błękitnawej. Francuzkiemu podróżnikowi zdawało się, że jest w prowincyi Franche-Comté z dalekim widokiem na Góry Jurajskie. Aż między dwoma wysokimi górami, ciemnej zieloności, odkrywa się wielkie, dwadzieścia pięć mil francuzkich rozległe jezioro Mjösen i tu krajobraz zmienia odrazu charakter — wjeżdża się w wielki, posepny bór północny — w bór Oesterdal. Mila za milą nie widać nic, prócz samych sosen, a ziemia zdaje się być pokryta śniegiem. Jestto biały mech, którym się żywią reny a który rozpościera się tu wszędzie; zaściela ziemię, obrasta pnie drzewin, kamienie, skały — wszystko jest nim pokryte, a białawy jego odbłask wśród ciemnego lasu starych, olbrzymich sosen o zachodzącym już świetle dnia wydał się francuzkiemu podróżnikowi wstępowaniem w jakąś krainę Dantejskiego zaświata.

Droga wiodła tym borem przez wszystkie godziny nocy, która jednak nie zdawała się nocą. Było tylko jakiś zmrok szary, trwający do wschodu słońca, aż rano podróżny znalazł się odrazu w dużym, całkowicie drewnianym mieście, z domami i domkami drewnianymi, malowanymi na różne kolory, najwięcej na czerwono. Na drugim końcu miasta a raczej za miastem już, dźwiga się wielka, wspaniała katedra gotyckiego stylu w jego najczystszej, najpiękniejszej rozkwicie.

Był to Thronrdjem — miasto drugie po Chrystianii.

Otoczają je pola orne, ale oczom zdaje się teraz, że spały przez cały rok. W Chrystianii było lato w pełnym jego rozwoju — Czerwiec, tu uśmiecha się do patrzącego wiosna: świeża, rozwijająca swe powaby dziewicze, jak-gdyby to Kwiecień był, pochylający się ku Majowi i trzeba sobie przypomnieć dopiero, że posuwając się na północ, cofamy się w tył pór roku.

A jak śliczną zdaje się oczom Francuza ta wiosna północy! Woła, że aksamitne trawniki łąk z kępami brzoź, tak lekkich, tak delikatnych, jak te, które Perugino mieści na krajobrazach swoich, nie dadzą mu się zapomnieć nigdy. Poetą jest on widać — poetą rozkochanym w pięknie natury i umie patrzeć na jej uroki.

Dostrzega jak kontury krajobrazu mienią się tu odcieniami tak różnymi, że jedna i tasama miejscowość zdaje się być coraz-to innym widokiem. Już zaraz, zaraz wkroczy się w strefę podbiegunową i w południe słońce pała tu na niebie tak doskonale czystym i bez chmurki najmniejszej, jak gdyby to był błękit grecki ponad Partenonem a góry odziewają się kolorem brzoskwiniowym. Z zapadnięciem dnia barwy te zmieniają się między sobą: niebo staje się żółto-złotem, a oddal jest fioletową, lecz z wolna barwy te bledną w sposób niewysłowienie łagodny i powietrze napełnia się światłowieniem najczystszej bez żadnego kolorytu, przycienionem tak, jakgdyby lampa niebieska przepuszczała je przez szkło matowe. Widno jest przytem o tyle, że można czytać książkę; przecież czujemy, że to jest noc, ale oczy nie pragną, nie chcą nawet się zamknąć.

W Thronrdjem kończy się kolej żelazna a zaczyna droga wodą. Z wagonu podróżnik przesiada się na statek parowy, na którym jest zawsze ciasno o tym czasie, bo rok rocznie najmniej sto osób pragnie oglądać *Słońce o Północy*. Z Thronrdjem jedzie się parostatkiem blisko pięć dni, a przez cały czas podróży oczy spotykają krajobrazy niewidziane nigdzie na świecie, oświecone w sposób najszczególniejszy. Jest tu nieobrachowana ilość fiordów czyli zatok, z tysiącami wysepek, którymi są usiane. Skały to nagie. Jedne mie-

dzianego koloru, drugie siwo-szare, jak asfalt; jedne pękate, okrągłe, ledwo wyglądające ponad wodę, jak głowa potworu; drugie strzelają w górę jak katedry z filarami, z iglicami wysmukłych wieżyc, lub kopułami. Oku zdaje się, że widzi ruiny kościołów, zamków gotyckich, cytadel, minaretów, a światło, rozłamując się o te kamienie, gra na wodzie w sposób tak fantastyczny, zmieszanych cieniów i blasków, jak nigdzie już więcej na świecie, jak nawet we śnie żadnym.

Jedna z tych wysepek: skała Torghaettan, ma w zycie swoim otwór na wylot, naśladujący zupełnie okno, tak że mijając ją, widzi się przezeń jak przez okno rzeczywiste, niebo. Geologowie przypisują to działaniu wilgoci; Laponczy cy stworzyli sobie z tego dziwu przyrody legendę, w której grają rolę walki olbrzymów, podnieconych przez miłość i zazdrość.

Statek dwa dni krążył między temi wyspami, których człowiek prawie że nie zamieszkuje, bo tylko na dwóch, czy trzech, mieści się gdzieś wioska i na niektórych znajduje się po kilka domów ludzkich. Tych widok ożywia bardzo krajobraz. Drewniane, malowane na czerwono, żółto, lub bielone, rozweselają oko, znużone widokiem wody tylko i kamienia. Trzeciego dnia rano przybywa się do Bodö, stolicy tej krainy, mającej dwa tysiące mieszkańców, i tu już wstępujemy w pas podbiegunowy, gdzie przez kilka miesięcy słońce nigdy nie schodzi z widnokregu. Widzimy je przez całą noc; o północy ukazuje się czerwone, jakgdyby w kurzu złotym, podobne do księżycy, kiedy wschodzi w mgłę wilgotnej. W około tarczy, jakgdyby z czerwonej, rozpalonej miedzi, niebo całe jest oświecone niby luną pożaru krwawo-czerwoną. Mgła, unosząca się nad Oceanem jest centkowna jakgdyby rozpalonemi granatami; dołem rozległa przestrzeń morza zróżnowana, z odbłaskami srebrnymi, które jej daje ruch fal.

Ale z wolna kolory te się mienią. Czerwoność nieba staje się różową, potem jest ono złote, potem zielonkawe, nakoniec staje się niebieskim i wtedy jest to już dzień — o pierwszej godzinie nocy.

W południe za to cały krajobraz przybiera barwy niezmiernie delikatne, łagodne. Niebo i morze są najczystszej lazuru, a między temi dwoma planami wszelkie szczyty wysp odcinają się kolorem dziko-złotym. Około godziny siódmej po południu ciemnieje to wszystko i przybiera kolor rytafrykański: góry stają się fioletkowymi, niebo całe jest w cieniach żółtych.

Szczególniej w okolicy wysp Lofoden widok jest nieporównanie piękny, a cały archipelag przedstawia krajobraz nigdzieindziej już nie widziany. Jestto wśród morza mur skał ciemno-błękitnych, niemal fantastyczniejszych, niż widziane poprzednio: iglice, wieże, wysoki, rzuty kamienia, odbijające się na owem tle jasno-złotem. Od czasu do czasu widzisz smugę jasności — to kanał między dwiema wyspami, a przez tę cieśninę oko dostrzega Ocean — przestrzeń bezkońca, która ci się zdaje niezmierną jakąś niwą dojrzałego zboża, ozięconego słońcem.

Parowiec, przesuwał się to cieśninami fiordów, to szerokimi zatokami, posuwa się wciąż na północ, aż czwartego dnia staje się w Tromsö, a to już nie licha mieszcina rybacka, bo jest tu siedziba biskupa i administracyjnych władz kraju, ludność liczy się na 5.000 dusz; jest tu telegraf, muzeum nauk przyrodniczych, biblioteka publiczna. Tu także podróżny widzi po raz pierwszy Laponczyków. W małej dolince, pobliskiej miasta mieszka ich ze dwudziestu ludzi, w chatkach okrągłych, ubitych z ziemi, mających w górze otwór dla przepuszczania dymu a dołem rodzaj jamy, służącej jako wejście. Zdaleka zdaje się, że to są jakieś ogromne kretowiska, a powietrze jest wewnątrz niedowytężone. Skóry renów służą za łóżka i pościel, rozciągnięte koło ogniska. Parę drewnianych skrzynek z żelaznym okuciem i kilka baryłek, w których się trzyma mleko renów — to sprzęt cały.

Pewien rodzaj tuniki ze skóry i takiesame spodnie, łapcie też skórzane — to ubiór ogólny mężczyzn, kobiet i dzieci. Wzrost ich średni jest jeden meter, pięćdziesiąt pięć centymetrów; brzydoty są wielkiej; usta mają szeroko rozcięte, kości

policzkowe silnie wystające, pod czołem nizkiem oczki małe, przebiegłego wyrazu.

Pojęcia handlowe są w nich bardzo rozwinięte; osada pod Tromsø powstała w celu zysku, jaki im przynosi pokazywanie koczwiska swego podróżnym, za co każą sobie dobrze płacić. Ogledziny rodziny laponńskiej kosztują około trzydziestu franków, a drożej jeszcze, gdy podróżny chce zobaczyć i trzody renów, wraz z obrazem łowów na zwierzę to w stanie dzikim. Laponczyk zarzuca na nie pętlę i chwytą je żywcem, aby przy swoich.

Po przystanku, pozwalającym oglądać te wszystkie ciekawości miejscowe, parostatek dąży już wprost do Przylądku Północnego — krajobraz wciąż jednostajny: skały pokryte lodem, strzelają z łona wód morskich, które wciskają, wrzynają się głęboko w ziemię, tworząc fiordy, podobne do rzek, a tak nad zatokami temi, jak i nad morzem wciąż tosam oświetlenie gorących tonów, jakgdyby południowego światła. A tu już, pod 70 stopniem szerokości północnej, słońce jest w południe tak gorące, że przy pomocy szkła podróżni wypalają żelazem rozpalonem do czerwoności znaki na laskach pamiątkowych. W piętnaście godzin po opuszczeniu Tromsø staje się w Hammerstad, stolicy Laponii Norweskiej i tu już nie ma tej zieloności, którą jeszcze w Tromsø cieszyła oczy — tu już nie, tylko czerwonego mchu trochę na kamieniach i zaledwie gdzie pod zasłoną gór wązki pasek murowy, a w rozpadlinie skał jaka karłowata brzoza. Miasto całe tchnie przykrą wonią tranu iśledzi oraz ryb morskich które tu się suszą, gdy drugostronnie wytipają tran.

Dalej posuwający się statek nie spotyka już nic w coby się zapatrzył podróżnik — z prawy strony szary pas pbrzeży, z lewej Ocean Lodowaty. Parostatek okrążył długi, płaski język ziemi: najbardziej na północ wysunięty ląd Europy, a po drugiej jego stronie widnieje obelisk, dalej ogromna płaszczyna skalista, i ponura skała: śpiczasty wysok trzysta metrów wysoki. Oto Przylądek Północny!.

Morze się tu burzy i ciska grube, spienione fale. Ze wszystkich stron spadziste skały tworzą jakby studnie — i znowu place śniegów, wały kamieni, aż nagle wśród tych głazów dolinka i kobierzec drobnych, ślicznych kwiateczków.

Godzinę trwa drapanie się podróżnych pod górę, dostają się na koniec na płaskowzgórzu kamieniste, falujące tak, jak gdybyś widział morze skamieniałe. Poniżej wielka samotność Oceanu, w górze mgła gęsta, rozogniona czerwono a wśród tego, o samej godzinie dwunastej nocy Świętojańskiej, naszej nocy Kupały, podróżnik ujrzał wschodzące słońce — glob purpurowy w promienistości podobnej do tych koron, które malarze dają głowom Świętych.

LISTA NAGRÓD

na Wystawie Pracy Kobiet.

(Dalszy ciąg).

DZIAŁ III.

Medal złoty: Babczyńska Helena z Warszawy, za nowe spożytkowanie pracy kobiecej w kierunku zegarmistrzostwa i dokładną robotę.

Medale srebrne: Białkowska Julia z Warszawy za artystycznie wykonane drzeworyty; Jeżewska

Zofia ze Skirwilna, za zręczne roboty inkrustacji drzewnej i rozwijanie tego kierunku pracy; Poświkowa Bronisława z Warszawy, za ornamentację z kwiatów, malowane z natury; Bajanowska Józefa z Warszawy, za staranne prowadzenie zakładu introligatorskiego i dokładną pracę; Justyna Błociszewska z Warszawy, za staranny rozwój doprowadzenie jedwabiu do właściwej apretury i skręcanie go na kordonek.

Medale brązowe: Zofia Pawińska z Warszawy, za prowadzenie specjalnie zakładu introligatorskiego, wyrabiającego pudełka aptekarskie; Rzętkowska Marya z Warszawy, za czyste i piękne malowanie na porcelanie; Struś Jadwiga z Petersburga, za dokładne prowadzenie robót snycerskich; Nowaczyńska Marya z Warszawy, za prowadzenie zakładu fotograficznego wyłącznie siłami kobiecimi, ze względnie dobrym rezultatem; Sosnkowska Paulina ze wsi Zacisze, za czysto i pięknie rozwinięty jedwab; Szmurło Karolina z Warszawy, za artystyczne malowanie na porcelanie; Mniewska Izabella, za fabryczne dokładne prowadzenie malowania na porcelanie; Reindel Marya za wyroby z gliny palonej.

Listy pochwalne: Dziewanowska Jadwiga z Warszawy, za artystyczne malowanie; Borkowska Marya z Warszawy, za heliominiatury dobre w wykonaniu i modelacji; Niewiadomska Józefa z Warszawy, za artystyczne malowanie na drzewie i marmurze; Bobińska Jadwiga z Warszawy, za artystyczne malowanie na drzewie i marmurze; Tekla Goleńska z Wielunia, za blaćki do stołu, malowane akwarellą, zręcznie naśladowujące inkrustację drzewną; Głowacka Marya z Warszawy, za dobre naśladowanie saskiej porcelany i za czystą robotę; Gażycz Marya ze wsi Siekanowszczyzna, za ekran artystycznie olejno malowany; Szuszkowska Romana z Warszawy, za artystycznie olejno malowany; Szuszkowska Romana z Warszawy, za artystyczne malowania na porcelanie; Kuczyńska Marya z Warszawy, za zręczne wypalanie na drzewie; Ułasiewicz Bronisława, za rozwijanie pracy kobiecej na polu fotografii; Marya Frankenstein z Warszawy, za gustownie ornamentowany ekran; Banna Marya ze wsi Solec, za wytrwałą pracę w dziedzinie jedwabnictwa (nagroda pieniężna w ilości rs. 10); Rudnicka Zofia z Warszawy, za malowanie na porcelanie; Ostromeckie z Warszawy, za malowanie na porcelanie; Nostitz-Jackowska Izabella z Warszawy, za malowanie na porcelanie i atlasie; Roman Zofia z Warszawy, za malowanie na porcelanie i materyach; Styczakowska Natalia z Warszawy, za wyroby z szyszek leśnych; Tomaszewska z Krzywickich Eliza, za malowanie na szkłe i porcelanie, oraz za heliominiatury.

W DZIALE I, II i III.

Dyplom uznania: Wikszemska Stanisława z Wilna, za koronki, wielki ich dobór i dawanie możności zarobkowania wielkiej liczbie kobiet.

Medale srebrne: Strońska Ludwika z Warszawy, za koronki cienkie; Szwalnia I w Tow. Dobr., za staranne kierownictwo.

Medale brązowe: Szkoła rzemiosł dla kobiet Natalii Smólskiej z Warszawy, za staranne prowadzenie szkoły, sumienne wykończenie robót, oraz za naukę rękawicznictwa; Sieroty warszaw. Tow. Dobr., za praktyczne rzeczy i staranne wykonanie; Ochrona i bezpłatna szkoła robót dla dzieci w Petrokowie, opiekun dr. Strzyżowski, szkoła rzemiosł pani Korycińskiej, za praktyczne i staranne wyroby, prowadzenie szkoły i bezpłatną naukę.

Listy pochwalne: Ochrona I w Warszawie, za szycie i cerowanie bielizny; Ochrona II w War-

szawie, za pończochy i podwiązki dobrze wykonane; Ochrona VII w Warszawie, za staranne kierownictwo; Ochrona VIII w Warszawie, za szycie (z zastrzeżeniem, ażeby więcej było wykonywanych pożytecznych rzeczy); Ochrona XIV-ta w Warszawie, za staranne prowadzenie; Ochrona XX w Warszawie, za starannie wykonane (lecz bezcelowe) okazy; Szwalnia przy ochronie XXI, za praktyczne prowadzenie ochrony; Ochrona XXIV w Warszawie, za bardzo staranne roboty; Ochrona XXV w Warszawie, za praktyczne roboty; Przytułek na ulicy Hożej w Warszawie, za staranne kierownictwo.

W DZIALE IV.

Dyplom uznania: M. J. Zaleska z Warszawy, za znaczną ilość książek dla młodzieży, odznaczających się wysokimi zaletami pedagogicznymi.

Medal srebrny wielki: Redakcja „Wieczorów Rodzinnych“ w Warszawie, za wytrwałe i umiejętne prowadzenie pisma w ciągu lat dziesięciu; Wójcicka z Warszawy, za pomysł i wykonanie poglądowej mapy Europy.

Medale srebrne: Kamocka Józefa z Warszawy, za wystawione książki, świadczące o wytrwałej i pożytecznej pracy pedagogicznej; Morawska Zuzanna z Warszawy, za dobre książki dla młodzieży; Papie (Teresa Jadwiga) z Warszawy za dobre książki dla młodzieży; Siemaszko Ludwika z Warszawy, za staranny zbiór okazów do nauki poglądowej.

Medale brązowe: Włodkowska Władysława z Warszawy, za staranny zbiór okazów do nauki poglądowej; Zielińska Michalina z Warszawy, za pożyteczne książki dla młodzieży; Porawska Bronisława z Płocka, za pożyteczne książki dla młodzieży; Unslicht Julia z Warszawy, za zbiór środków własnego pomysłu do nauki poglądowej; Gerzon Marya.

Listy pochwalne: Frydman Róża z Warszawy, za systematyczny zbiór wzorów robót dziecińczych; Mirosławska Zofia z Warszawy, za modele anatomiczne do nauki szkolnej; Głowacka Tekla i Szmurło Karolina z Warszawy, za dobór obrazków do lamigłówek; Hausbrand Helena z Warszawy, za staranne ułożenie i zebranie zielnika.

Podziękowanie od komitetu Muzeum za przyjęcie udziału w wystawie: Urbanowska Zofia z Warszawy, za wystawione książki dla młodzieży (poza konkursem); Weryha Marya z Warszawy, za wystawione książki dla młodzieży (poza konkursem).

(Dokończenie nastąpi).

OD WYDAWCY.

„Bluszc” w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszcza* dołącza się Arkusz 12-ty powieści pod tytułem **Alicya O'Brien**, przez Skeffingtona Thompson.

TREŚĆ: Katarzyna Jagiellonka, królowa Szwedzka, skreślił M. Dubiecki. — Wystawa pracy kobiecej, przez M. Ilnicką. — W Więzjach, przez Anatola Krzyżanowskiego. — Przegląd teatralny St. Krzemińskiego. — Powódź w Pensylwanii. — Słońce o północy. — Lista nagród na Wystawie Pracy Kobiet.

Dodatek obejmuje: Arkusz 12-ty powieści pod tytułem: **Alicya O'Brien**, przez Skeffingtona Thompson. — Przegląd mód. — 23 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**

Warszawa. — W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Доволено Цензурою. — Варшава, 14 Юня 1889 года.